№ 60. Warszawa, Wtorek 17 (29) Sierpnia 1876 r. Rok I.

WARUNKI PRENUMERATY.
w Warszawie:
Rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1, miesięcznie kop. 35.
Za odnoszenie do domu, dopłaca się kopiejek 5 miesięcznie.

ANTRAKT

GAZETA TEATRALNA

WARUNKI PRENUMERATY.
na Prowincji:
Rocznie rs. 6, półrocznie rs. 3, kwartalnie rs. 1 kop. 50.
Numer pojedynczy kop. 5.

wychodzi codziennie, nie wyłączając Niedziel i Świąt.

BIURO REDAKCJI, oraz KANTOR GŁÓWNY i EKSPEDYCJA ulica Krakowskie-Przedmieście Nr. 415 (15) w Pałacu, Hr. St. Potockiego.

Dziś Ściecie św. Jana Chrzciciela.
Jutro św. Feliksa Męczennika.

× Pomiędzy komedją, wodewilem, krotochwilą, a farsą wielka zachodzi różnica, którą najwybitniej może uwydatniła wczorajsza sztuka, p. t. „Chrzciny Maciusia", odegrana w Alkazarze, przez artystów dramatycznych truppy p. Grabińskiego.

Przyszliśmy na komedję, a spotkaliśmy się z farsą najpośledniejszego gatunku— z farsą przesoloną, przepieprzoną i pełną tłuszczu wylewającego się po brzegi... „Chrzciny Maciusia" dobre byłyby dla kumoszek z paryskiej City, lub z przedmieścia Ś-go Antoniego, ale w Warszawskim Alkazarze, były rażącem bezeceństwem tylko.

P. Grabiński przeliczył się... zażartował wyraźnie z publiczności poważającej sztukę. Dwa pierwsze akta tej bluetki jarmarcznej, mogą przynajmniej rozweselać widzów, ale trzy następne przechodzą w szarżę całkiem niedorzeczną.—Cała treść tej sztuki zasadza się na popisie dwuznaczników i scen wątpliwej moralności. — Na chrzest Maciusia zaproszono aż czterech ojców chrzestnych, a dziecko ginie gdzieś w kordegardzie! Artyści w teatrzyku Alkazarowym, odegrali swoje role bardzo starannie, usiłowali widocznie ratować niefortunnego autora.—Pomimo to jednak, *fiasco* było zupełne i publiczność opuściła ogródek bez żalu, a nawet z pewną wdzięcznością, że widowisko, tym razem, skończyło się bardzo wcześnie.

—

× W tygodniu bieżącym, ma być przedstawioną w Alhambrze nowa komedja p. t. „Rządy w państwie Minerwy". Słyszeliśmy, że p. Teksel postarał się o świetną wystawę tej sztuki, do której zamówione zostały kostjumy zupełnie nowe.

—

Czytamy w „Gońcu Urzędowym":

Najjaśniejszy Pan, na najpoddańsze przełożenie sekretarza stanu, hr. Pahlena, d. 8 Lipca r. b. Najmiłościwiej rozkazać raczył, przestępców skazanych przez sądy Królestwa Polskiego, na pozbawienie wszelkich praw stanu i zesłanie, wysyłać na osiedlenie lub do ciężkich robót, bez wykonywania co do nich aktu publicznej egzekucji, ustanowionej w artykule 963 ustawy postępowania kryminalnego.

—

× Ristori!—Ristori w Warszawie! takie okrzyki można było usłyszeć na każdym kroku, podczas pierwszej bytności u nas, margrabiny del Grillo.

Entuzjazm był powszechny—literaci posyłali jej egzemplarze gazet, w których znajdowały się recenzje, naturalnie pochwalne.

Jeden z energicznych przedsiębierców tutejszych, znając dobrze usposobienienie warszawian i wartość przysłowia: „Czas płaci czas traci", postanowił wydać, w języku polskim, wszystkie ośm Sztuk, które utalentowana artystka grać miała. Było to tylko streszczenie.

Jednakże, jak to się często dzieje, i z przyczyny czego nieraz i nasz „Antrakt" ma dość kłopotów, widowisko zmieniono. Miano grać dnia tego „Deborę", lecz zmieniono na „Franczeskę da Rimini" którą grać miano—o kilka dni później.

Egzemplarze „Debory" były gotowe, gdy o „Franczesce" nie myślano jeszcze wcale. Wyobraźcież sobie kłopot wydawcy!

— Panie Józefie! rzekł on do p. J. B. W., który tłómaczył mu owe sztuki; rób co chcesz ja „Franczeskę" muszę mieć koniecznie na dziś wieczorem. Ogłosiłem, że wydam wszystkie sztuki w streszczeniu; broszurki, te jak wiesz, mają powodzenie ogromne, chłopcy sprzedający pod teatrem, z samego rabatu od egzemplarza, zarabiają po rs. 10 dziennie. Gdybym więc nie dał Franczeski skompromitowałbym się w obec publiczności i straciłbym reputację... kurs w kraju mającą...

— Jest to trudność nielada, odrzekł p. Józef, nic obiecać nie mogę... gdyż niepodobieństwem jest prawie przetłómaczyć, złożyć i wydrukować, choćby i taką broszurkę tylko.

— O druk pan się nie frasuj, pieniędzy nie pożałuję, lecz tłómaczenie mieć muszę, choćby mię nie wiem co kosztowało.

— Nie tyle tu idzie o wynagrodzenie ile o czas. Oryginału francuzkiego nie mam pod ręką, po włosku tak dobrze nie umiem, abym mógł przetłómaczyć...

W tem wszedł p. Jul. B.; znany literat i redaktor a słysząc koniec rozmowy, spytał o co rzecz idzie. Gdy mu objaśniono, rzekł:

— Zdaje mi się, iż mam w domu tłómaczenie zupełne „Franczeski", którego dopuściłem się... kiedyś, za młodu; rękopism ten jednak nie jest przeznaczony do druku.

— Kochany p. Juljanie, ratuj! Zapłacę co chcesz, lecz rękopism mieć muszę. — Ile pan chcesz?

— Siedmdziesiąt pięć rubli.

— To zbyt drogo. Wszak przekład ten, jak pan mówisz, jest młodzieńczą twą pracą, nie przeznaczoną do druku... Dam trzydzieści.

— Nie wezmę ani pięćdziesiąt, odrzekł p. Jul. B.

— Panie redaktorze! Zapłacę złotem, samemi półimperjałami, prosto z pod stempla, błagał wydawca.

— No, daj pan tych stęplów dziesięć i drzyj łyka, póki się dadzą—odrzekł z uśmiechem redaktor.

— Zgoda, wyjęczał wydawca, oto są pieniądze – proszę o rękopism.

Za chwilę rękopism był w drukarni,—a wieczorem chłopcy pod teatrem krzyczeli: „Franczeska da Rimini"! tłómaczenie zupełne pana Jul. B. 30 kopiejek!

I kupowano chciwie broszurkę jak dziś Antrakt naprzykład...

Takim to sposobem ujrzała światło dzienne „Franczeska", w polskim przekładzie, która inaczej, może dopiero po śmierci tłómacza byłaby na świat wyszła.

—

× Uderzywszy się w piersi... wszyscy jak tu jesteśmy—dziennikarze i literaci, lubimy, od czasu do czasu, pożartować sobie z współziomków naszych wyznania Mojżeszowego, chwytając w lot na pióra, najmniejsze ich śmieszności.—Czy tak będzie *usquae ad finem*, czyli też kiedyś może, wyrośniemy z tej ułomności moralnej.... przewidzieć trudno.— W każdym razie jednak, *Antrakt*, który także acz z rumieńcem na... szpalcie, dopuszcza się czasem tej wspólnej wady — pragnie dziś uwydatnić jedną z cnót prawdziwych, jaką się odznaczają izraelici tutejsi. Tą cnotą jest solidarność, nie tylko w handlu i przemyśle, lecz i w miłosierdziu, także. U nas, naprzykład, jeżeli ktoś z ludzi ubogich, potrzebuje sam jechać, lub wysłać kogoś z rodziny, na kurację do wód mineralnych—to albo wyrzeka się zupełnie tego, choćby jedynego, środka ratunku, lub musi żebrać w szpaltach wszystkich gazet, pomocy osób litościwych, co w każdym razie nie jest, ani zaszczytną, ani przyjemną rzeczą—i w rezultacie jeszcze najczęściej pozostaje na koszu. U izraelitów, rzecz się dzieje inaczej— tam każdy ubogi chory, jeżeli tylko ma świadectwo ubóstwa i atestat lekarza, nakazujący mu kurację u wód, np. w Ciechocinku, przybywa tam za pieniądze, dane mu na podróż przez gminę miejscową i odrazu udaje się do komitetu, istniejącego przy wodach. Dalej, już nie potrzebuje myślić o niczem, bo ów komitet dostarczy mu wszystkiego: począwszy od mieszkania i chleba, aż do kąpieli i lekarza.

W tym roku, w Ciechocinku było kilku takich ubogich pacjentów izraelskich, i wszyscy doznali skutecznej pomocy, a nadto jeszcze zamożniejsi współwyznawcy przebywający tam na kuracji, obdarzyli ich funduszem na drogę z powrotem do domu, dokąd jeden z nich, już całkiem wyleczony z paraliżu w nogach, pieszo się wybrał— szczęśliwy! Kiedyż wśród nas, co tak dowcipnie umiemy żartować z drugich—nastanie taka zacna, prawdziwie chrześciańska solidarność—choćby w miłosierdziu tylko?

—

× W dniu 23 Sierpnia, srożyła się w Lublinie burza, jakiej najstarsi ludzie nie pamiętają. Około godziny w pół do 6-ej po południu niebo pokryło się chmurami czarnemi jak atrament—ciemności zaległy miasto, a straszliwa wichura szalała. Wreszcie chmury pękły, wyrzuciwszy potopowe potoki wody.

—

× Czytelniku! Jeżeli jesteś anglomanem krwi czystej i z dyplomatyczną ścisłością wygalasz codziennie całe twoje oblicze, lub choćby samą brodę tylko; czytelniku—jeżeli do tej czynności używasz pomocy golibrody, chociażby nawet przysłanego ci z jakiegoś nowomodnego „Salonu"—wiesz zapewne

o tem, na jak męczącą i wstrętną operację, wystawiony bywasz codziennie.

Z rana, gdy jeszcze sny rozkoszne majaczą po twojej głowie, woniejącej jeszcze po delikatnych olejkach, jakiemi ją namaściłeś na „wieczór", wczorajszy — przeraźliwy odgłos dzwonka, lub silne do drzwi kołatanie, budzi cię nagle. Jeszcześ nie zdołał *rozcmuchać się* zupełnie i oprzytomnieć z sennego rozmarzenia, gdy już jakieś palce szorstkie i mydlinami pachnące... jak paszcza zimnego gadu, chwytają się za nos, a po twej brodzie zaczyna się ślizgać pędzel namydlony srodze. Otwierasz oczy, chceś coś przemówić... Niepodobna! bo oto już ostrze brzytwy, skrzeczącej jak żaba, po twojej skórze, błyska groźnie i szybko dokoła. I tak przez całe pięć minut, które pięciu godzinami być się wydają, dusisz się, nie chcąc wciągać w nozdrza atmosfery, ziejącej z dłoni twego dręczyciela — aż wreszcie, oblany przezeń zimną wodą, która wraz z resztkami mydła za kołnierz ci ścieka łagodnie... i obtarty ręcznikiem podejrzanej czystości, który już tego samego ranku, przy różnych pewnie posługiwał brodach... oddychasz pełną piersią i wypychasz fertycznego *chłopca*, który ci tę torturę codziennie zadaje poprzysiągłszy sobie zapuścić brodę choćby do pasa nawet — i... nazajutrz znowu też same znosisz męczarnie.

Jeżeli tedy, czytelniku należysz do tej, tak licznej jeszcze konfraterji „golonych" — a jeśli jeszcze, o nieszczęsny człecze, padnie na ciebie los taki, że do pełnienia tej chrześcjańskiej posługi, (umarłych gołą zwykle) przybywa czeladnik jednej z licznych dziś razur niechrześcjańskich... którego palce i cały organizm „exhaluje" zapachem, przypominającym żywo odór „szczupaka po żydowsku" — to przyznaj, że dałbyś chętnie jakąś jednorazową ofiarę, lub płacił podatek roczny, za wynalazek golenia się bez użycia brzytwy i... bez palców razurowego dependenta. Otóż... Cieszcie się wszystkie brody golone, mydlone i pudrowane! gdyż obecnie niejakiś Her Wohlschleger, najuczeńszy i najzasłużeńszy z felczerów, vel cyrulików wiedeńskich, po wielu, długoletnich próbach i praktykach, w skutek których wyłysiał tak gładko, że już, sam przynajmniej, nożyczek nie potrzebuje wcale — wynalazł wreszcie maść cudowną, za przyłożeniem której, wszystkie włosy wychodzą z ciała, z korzonkami nawet i przez czas długi nie odrastają już wcale. Tę ważną wiadomość, mogącą sprowadzić radykalną reformę w brodach, faworytach, podbródkach i wszelkich kosmatych ozdobach organizmu naszego, wyczytaliśmy w... anonsach berlińskiego kolegi, „Antraktu" wychodzącego w nadsprejskiej stolicy p. t. „Theater Cwischen - Akts - Zeitung". Zawczasu już wyobrażamy sobie postrach, jaki padnie na wszystkich „Figarów" warszawskich, skoro pierwszy słoik pomady pana Wolschlegera, zjawi się w jakimś tutejszym kosmetykowem sklepie.

—

✕ Chroniąc się przed deszczem który wczoraj wykropił nas kilka razy porządnie, wstąpiłem do cukierni.

Za chwilę wszedł do niej jeden z moich dawnych znajomych — kochany Bolcio, ubrany jak lalka, wyświeżony, wydmuchany, w paryskim kapeluszu na głowie, w wiedeńskich rękawiczkach, w angielskim żakiecie i z amerykańską trzciną w ręku.

— Jak się masz Bolku? rzekłem.

— A witajże, odrzekł, jakże się cieszę...

I zaczęliśmy gwarzyć z sobą przy kawie, o wszystkiem i o niczem — o sprawach społecznych, ekonomicznych, finansowych, o literaturze, sztuce, naukach, ba — nawet o polityce.

Kogóż dziś nie zajmuje polityka? — więc Bolcio utrzymywał, że Serbowie sprawią barbarzyńskim bisurmanom łaźnię — ja zaś pesymistycznie zapatrując się na tę kwestję, przyjmowałem rezultat odwrotny. Rozprawy aczkolwiek ożywione, ciągnęły się w przyzwoitej formie — na raz, Bolcio, wydobywa z bocznej kieszeni paltota rewolwer, i... wymierza mi to mordercze narzędzie wprost w piersi.

Drgnąłem mimowolnie, choć się nie zaliczam do tchórzów — i byłem najmocniej przekonany że Bolcio zwarjował.

On tymczasem z najzimniejszą krwią odciągnął cyngiel, i z uśmiechem przysunął jeszcze bliżej ku mnie rewolwer, mówiąc: „Ofiaruję ci cały nabój."

Już chciałem wyrwać zabójczą broń mojemu towarzyszowi, gdy wpatrując się w nią uważniej, dostrzegłem, że zamiast stożkowych kulek, zawierała w sobie dziesięć może... papierosów.

— A! rzekłem, — jak widzę, nosisz się z jakimś nowym wynalazkiem i to wielce dowcipnym — zapewne pochodzi z błogosławionej Ameryki?

— Gdzie tam — to koncept czysto francuzki i wielce dogodny — w rękojeści są zapałki, a w lufie cygara lub papierosy. Wracam niekiedy bardzo późno w nocy, rzezimieszków nie brak w Warszawie, przyznasz, że to wielce wygodna cygarnica.

— A ileż kosztuje? zapytałem.

— W Paryżu 17 franków — u nas ze wszelkiemi kosztami cła i przesyłki, tylko sześć rubli.

— Sześć rubli! — zdaje się mnie, że to bawidełko nieco za drogie.

— Ależ pomyśl, że zapewnia bezpieczeństwo mojej osobie.

— I rozdziera ci kieszeń, dodałem, gdyż musisz przyznać, że taką maszynę trudno przy sobie pomieścić.

— Masz słuszność, rzekł po chwili, zły jestem, że skusiła mnie ta nowość, bo proszę cię sam osądź, u trzech tużurków i dwóch żakietów już nie mam całych kieszeni.

— A powiedziałeś przed chwilą, że to cygarnica bardzo wygodna?

— Bolcio westchnął — pożegnaliśmy się.

Wychodząc z cukierni, zadałem sobie to pytanie — czy w istocie jesteśmy tak bogaci, abyśmy mogli rozrzucać pieniądze na podobne bezużyteczne cacka? I równie jak Bolcio... westchnąłem.

—

⊙ Jeden z dzienników amerykańskich opisuje następne zdarzenie, zaszłe w mieście Saint-Clairsville w Pensylwanii.

Pewien siłacz, słynny łowca szczurów i psów, nazwiskiem John Connoly, 8 Lipca r. b. wszedł pijany do szynkowni Briana Foharty, który posiadał buldoka angielskiego czystej krwi, z postaci dzikiego, lecz bardzo łagodnych obyczajów.

Gdy Connoly wchodził, pies leżał pod stołem, z oczyma w pół przymkniętemi — spostrzegłszy zwierza, pogromca psiej rasy, przyczołgał się na rękach i kolanach i wsunął głowę pod stół. Pies otworzył oczy i poruszył ogonem, jakby chciał się łasić — lecz w tejże chwili Connoly z szybkością błyskawiczną schwycił go zębami za ucho, wyciągnął z pod stołu i rzucił na ziemię. Krew broczyła ucho psa rozdarte na poły. Buldok skoczył do swego prześladowcy, lecz ten, jednem silnem uderzeniem pięścią w głowę, ogłuszył zwierzę. Pies po chwili znowu się rzucił na Connoly'ego, widzowie zaciekawieni tą walką, otoczyli zapaśników kołem, a szynkarz rzekł „zobaczycie że go pies mój zabije". Tymczasem buldok schwycił nieprzyjaciela za rękę w chwili, gdy ta zadać mu cios zamierzała, ale Connoly tak silnie zacisnął mu drugą ręką, gardło, że pies musiał zdobycz wypuścić. Buldok rozżarty, po raz trzeci rzucił się na przeciwnika, zranił go w ramię i wpiął swe ostre zęby w łopatkę prawą. Naprożno Connoly usiłował wyswobodzić się — pies zagłębiał coraz więcej w ramię swe zęby.

Siłacz wówczas pochwycił zębami łopatkę buldoka, i tak zespoleni w jedną masę, człowiek i zwierzę, runęli na ziemię.

Krew płynęła potokami — i mieszając się z kurzem podłogi, wytworzyła czerwone błoto, w którem nurzały się dwie istoty we wściekłym uścisku, szarpiąc się zębami zapamiętale. Po upływie pięciu minut, widzowie nie mogli znieść tego ohydnego widoku i postanowili rozłączyć zapaśników — wszelako pomimo silnych uderzeń nożem i wykręcania członków, buldok nie puszczał swej ofiary. — Szynkarz wówczas zawołał. — „Nie ma rady — potrzeba ocalić przynajmniej jednego z nich, wybieram lepszego — i strzelił z rewolweru w samo serce buldokowi.

Zwierz skonał natychmiast — lecz tak silnie zacisnął w zębach łopatkę Connoly'ego, że zaledwie z wielką trudnością, zdołano rozedrzeć szczękę psa i oswobodzić człowieka znajdującego się w stanie iście opłakanym.

Wreczy samej, Connoly nie mógł się podnieść z ziemi — dla pokrzepienia sił jego wlano mu w usta wódki i przywołano lekarza, który stan pacjenta uznał za wielce niebezpieczny. Na trzeci dzień potem Connoty umarł w szpitalu, w paroksyzmie strasznych konwulsyj. Nadmienić potrzeba, że ludność w Saint Clairsville, więcej żałowała buldoka niż człowieka.

Tylko w jednej młodej Ameryce, mogą się rodzić tacy Connoly'owie, i zachodzić sceny tak ohydne.

—

⊙ Paryż zajmuje się obecnie ciekawym procesem, jaki się toczy przed trybunałem cywilnym w Muret. Rzecz chodzi o spadek po p. Laget, dawnym profesorze konserwatorjum, zmarłym w Tuluzie w Styczniu r. b. Sukcesja wynosi 100,000 franków.

Z jednej strony występuje p. Cazaux dawny śpiewak Opery zamieszkały w Tuluzie, który w zażyłej przyjaźni pozostawał z testatorem — z drugiej panna Darom, przyjaciołka i dawna uczennica Laget'a.

Obie strony opierają swe prawa na testamencie będącym w ich posiadaniu, zapisującym cały majątek.

Testament na który powołuje się p. Cazaux, był po prostu złożonym u notarjusza. Testament natomiast panny Daram, jest wielce tajemniczy — doręczyła jej ów dokument jakaś osoba nieznajoma, w dwa miesiące po śmierci Laget'a.

Panna Daram po odebraniu tego papieru, napisała zaraz list o tem zawiadamiający, do p. Cazaux, który wielce nim był zdziwiony. Cazaux oświadczył przed trybunałem, że akt na który powołuje się jego antagonistka, jest dziełem mistyfikacji.

Proces trwa już trzy miesiące — sędziowie nie wyrzekli jeszcze ostatecznej decyzji, a tylko postanowili po długich rozprawach, że testament pozostający w ręku panny Daram, oddanym zostanie biegłym, mającym zaopinować: czy napisanym jest własną ręką Laget'a.

Za kilka tygodni, ma być stanowczo rozstrzygniętą przez sądy ta sprawa.

TEATR LETNI

Dziś we Wtorek, dnia 17 (29) Sierpnia 1876 r.

DON CARLOS

Opera w 5-ciu aktach (akt 2-gi, 3-ci i 4-ty w dwóch odsłonach).—Muzyka Verdi'ego.

***** Siódmy występ gościnny p. Marji Juniewicz.**

Filip II, król Hiszpanji — — —	Pan *Wasilewski.*
Elżbieta z Walezyuszów — — —	*** Pani *Juniewicz.*
Don Carlos infant hiszpański — — —	Pan *Cieślewski.*
Księżniczka Eboli — — —	Panna *Lewicka.*
Rodryg, margrabia di Piza — — —	Pan *Chodakowski.*
Teobald, paż królowej — — —	Pani *Szlezygier.*
Mnich — — —	Pan *Siwicki.*
Hr. Lerma — — —	Pan *Kawecki.*
Herold królewski — — —	Pan *Ulbrich.*
Hrabina d'Aremberg — — —	Pani *Deuther.*
Głos z Nieba — — —	Panna *Wojakowska.*
Wielki Inkwizytor	Pan *Zakrzewski.*

Deputowani Flamandcy. —Inkwizytorowie. —Panowie i damy dworów Francuskiego i Hiszpańskiego. — Rębacze leśni. —Lud. —Paziowie. —Gwardje królewskie. —Mnichy. —Posłowie prowincyj. —Korporacje. — Konstable. — Oficerowie.— Strzelcy. —Heroldowie. —Słudzy.

Rzecz dzieje się w 1-szym akcie we Francji, a w innych aktach w Hiszpanji.

CENA MIEJSC ZWYCZAJNA.

Początek o godz. 8-ej wiecz.

OGŁOSZENIA.

Дозволено Цензурою, Варшава 17 Августа 1876 г.—w Drukarni M. Ziemkiewicza Krakowskie-Przedmieście Nr. 415.

Wydawca i Redaktor, Aleksander Niewiarowski.